

Jakub Jankiewicz
ARTEFAKT

Księga I

I

Niebo było granatowe. Leniwie poruszające się chmury coraz to odsłaniały to przysłaniały okrągłą tarczę księżyca, strażnika nocnych wędrowców. Księżyc będący w pełni tworzył nierealne, momentami straszne cienie. Samotna postać w czerni przechadzała się ulicami starego miasta. Rozsypane się kamieniczki i brukowana alejka nadawały temu miejscu mroczny klimat. Tajemniczy osobnik poruszał się bezszelestnie, cicho, prawie unosząc się nad ziemią. Miał na sobie czarny płaszcz ściśle oplatający ciało. Jego twarz kryła się gdzieś w głębi kaptura mocno nasuniętego na głowę. Dzienny gwar już dawno zdążył ustąpić miejsca nocnej ciszy. Tylko gdzieś dało się słyszeć, że miasto nawet w tak spokojną noc, nigdy tak naprawdę nie zasypiało. Gdzieś w zaułku koty urządzały sobie nocne harce. Na schodach, przed wejściem do jednej z kamieniczek, jakaś para nie mogła się od siebie oderwać, ciesząc się ostatnią chwilą, kiedy mogą być razem. Ciszę zagłuszył dźwięk tuczonego szkła. Postać do tej pory pogrążona we własnych myślach poderwała nerwowo głowę w stronę nieoczekiwanego dźwięku.

II

Znowu musiałem się z nim spotkać. Dlaczego akurat wybrał takie miejsce? Zapomniana część miasta, ta rozsypująca się ruina, do której nikt nie zaglądał, oprócz zakazanych osobników, których dusze były takie jak miejsce, w którym się znaleźli. Szare i brudne, bezlitosne, rodem z jakiegoś sennego koszmaru. Jeszcze głębiej naciągnąłem kaptur i ciaśniej otuliłem się moim czarnym, miękkim płaszczem. Właściwie założyłem go po to, żeby nikt mnie nie rozpoznał, niż z powodu zimna. Był sierpień, a całonocny upał ustąpił miejsca przyjemnemu chładowi nocy. Lekki wiatr przyjemnie chłodził, przynosił ukojenie.

Jeszcze raz sprawdziłem, czy o niczym nie zapomniałem. Jak zwykle wszystko odbędzie się bez niepotrzebnych słów i wymiany grzeczności. Tak jest lepiej. Pełen profesjonalizm, bez zbędnej gadki. Wymiana i rozchodzimy się, każdy w swoją stronę. Nawet nie znam jego imienia, a on nie zna mojego. Tak jest lepiej. Tak na wszelki wypadek. Gdyby mnie, lub jego wypytywali, zadawali pytania. Żadne z nas nie wspie drugiego, bo przecież nic o nim nie wie.

Nareszcie doszedłem na umówione miejsce. Wyszedłem zza rogu i zobaczyłem postać po drugiej stronie małej brukowanej uliczki. Stał oparty o jedyną czynną latarnię, która dawała znikomą ilość światła. Palił papierosa, a sposób, w jaki był ubrany i jak się zachowywał nie dawało mi żadnych wątpliwości, że to właśnie z nim miałem się spotkać. Zacząłem go obserwować. Był ubrany jak zwykle w czarny garnitur różową koszulę i czarny krawat. Rzucił na ziemię wypalonego do połowy papierosa i zgasił go butem ze skóry krokodyla.

Powoli wyszedłem z cienia i poszedłem w stronę latarni. Mężczyzna w garniturze wyglądał tak jakby mnie nie zauważył. Wyjął papierosa z kieszeni i odpalił go od bardzo dziwnej zapalniczki ze srebra. Nigdy tego nie mogłem zrozumieć, zawsze palił dwa

papierosy, każdego wypalając do połowy. Do moich nozdrzy doleciał zapach zepsutej kiszonej kapusty, czosnku, pleśni i moczu, dolatujący ze sterty śmieci znajdującej się na samym końcu ślepej uliczki.

Kiedy do niego podszedłem, wrzucił wypalonego do połowy papierosa do studzienki kanalizacyjnej.

– Przyniosłeś – spytałem.

– Oczywiście, a jak myślisz, po co tu stoję – oburzył się i podał mi małe zawiniątko.

Małą, czarną, aksamitną sakiewkę. Z dziwnymi znakami wyszytymi złotymi nićmi.

Ciepłą

i miłą w dotyku. Ciepło zdaje się dochodziło z wnętrza pakunku. Mile mrowiło i łaskotało dłoń, w której go trzymałem. Czuję jak energia z wnętrza przepływa przez moja rękę. Od razu wiedziałem, że to właśnie tego poszukiwałem. Musi być naprawdę potężny, ale sprawdzę go później, kiedy będę już bezpieczny.

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni płaszcz kopertę. Podałem mu ją. Otworzył ją, zerknął tylko i schował. To mi się w nim zawsze podobało. Ufał mi, wiedział, że nie mam powodów żeby go oszukiwać. Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia, a on dobrze o tym wiedział.

– Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, wiesz jak się ze mną skontaktować – powiedział i odszedł zapalając jeszcze jednego papierosa swoją srebrną zapalniczką.

Przez chwilę stałem tak, odprowadzając go wzrokiem i ważąc w ręku to, co tak długo i usilnie poszukiwałem. Korciło mnie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest taki duży jak mi go opisano i czy rzeczywiście ma tak wielką moc. Zastanawiałem się jak wygląda. Nie zachowały się przecież żadne ryciny ani księgi z tego straszego okresu nazwanego średniowieczem, kiedy to próbowano użyć jego mocy po raz ostatni. Po tym wydarzeniu jakby zapadł się pod ziemię. W owym czasie kapłani niszczyli wszystko, co w jakikolwiek sposób podważało autorytet kościoła, dlatego do dzisiaj nie zachowały się żadne wzmianki o tym potężnym przedmiocie. Schowałem aksamitną sakiewkę do kieszeni i odszedłem. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu i zbadać dokładnie to, czego pragnąłem od tak dawna.

III

Noc przynosiła przyjemny chłód. Zesłała ukojnie na miasto, przez cały dzień prażące się w sierpniowym słońcu. Księżyc w pełni towarzyszył tajemniczej postaci w czarnym płaszczu z kapturem zasłaniającym jej twarz, przechadzającej się mało uczęszczaną częścią miasta. Stare rozsypujące się już kamienice, brukowane ulice, gdzieś tam tylko działające latarnie, milcząco przyglądały się dziwnemu osobnikowi, który lekko niczym kot kierował się w sobie tylko wiadome miejsce.

IV

Nareszcie mam. Wreszcie jest mój. Będę mógł go w końcu zbadać i uwolnić moc, którą kryje w sobie. Wystarczył mi jeden dotyk, by stwierdzić, że to, co wiadomo o tym artefakcie to tylko wierzchołek góry lodowej. Jeden dotyk. Po dokładnym przebadaniu może okazać się, że moc, jaką posiada ten przedmiot, przerośnie moje najśmielsze oczekiwania. Mógłbym zrobić to od razu. Nie będę jednak ryzykować. Uwolnienie takiej mocy bez zabezpieczenia może wywołać duże fale, które nie pozostaną niezauważone. Każdy, nawet z minimalną mocą, mógłby wyczuć moją obecność, a przede wszystkim obecność artefaktu. Ktoś potężny byłby w stanie określić moje położenie nawet z odległości setek, jeśli nie tysięcy kilometrów, a na to nie mogę sobie pozwolić, dopóki nie zbadam go dokładnie. Muszę zastanowić się nad stworzeniem odpowiednio mocnego czaru ekranującego.

Kiedy szedłem, a moje myśli wybiegały w przyszłość, skupiając się na przedmiocie należącym do odległej przeszłości, usłyszałem dźwięk tłuczonej butelki. Szybkim nerwowym ruchem skierowałem swój wzrok w kierunku skąd przyszedł. Z cienia zalegającego uliczkę znajdującą się z lewej strony, wyłoniły się trzy postacie. Jeden z długimi, czarnymi, idealnie prostymi włosami wyjął z połów skórzanego płaszcza kij baseballowy. Drugi w koszulce z napisem „Therion”, z dziwnie przyciętymi włosami koloru słomy, szedł obok tego w płaszczu. Trzeci trzymający się z tyłu miał na sobie niebieskie spodnie i kurtkę z czarnej skóry. Byli ludźmi, dlatego nie wyczułem żadnej obecności ani aury mocy. To chyba jacyś przypadkowi goście. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może specjalnie wysłali ludzi żeby nie wzbudzać podejrzeń. Wiedziałem, że szli w moim kierunku, czułem ich intencje i zdawałem sobie sprawę, że to, co miało nastąpić było nieuniknione. Zręcznie odwróciłem się w ich stronę. Stałem w lekkim rozkroku. Nie czekałem, zaatakowałem pierwszy. Złapałem tego z włosami koloru słomy za szyję, lekko uniosłem do góry i cisnąłem nim jak szmacianą lalką. Poszybował jakieś dziesięć metrów w górę i uderzył o ścianę kamieniczki. Usłyszałem gruchot łamanych kości. Zanim koleś w skórzonym płaszczu zdążył zareagować szybkim ruchem wybiłem mu baseballa z ręki. Złapałem go za kark i wbiłem kły w tętnicę szyjną. Ciepły życiodajny płyn szybko zaczął spływać mi do gardła i rozchodzić się po całym ciele. Całkiem zapomniałem, że byłem tak bardzo spragniony. Kiedy przestał już wierzgać nogami, odrzuciłem jego zwłoki jak nikomu niepotrzebną zabawkę.

Kiedy trzymałem blondyna za szyję, a drugi zamierzał się na mnie kijem, trzeci odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. On musiał zginąć. Nie wolno mi było zostawiać świadków. Świeża krew krążąca w moich żyłach dodała mi jeszcze więcej siły i szybkości. Dogoniłem go i złapałem go za jedno ramię. W skutek czego zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni i upadł. Siedział tak z otwartymi ustami wpatrzony w moją twarz i zakrwawione kły. Jego kręcone włosy kleiły się do spoconej twarzy. Sparaliżowany strachem nawet nie drgnął, kiedy rozszarpałem jego tętnicę szyjną. Nie chciałem pić, nie byłem spragniony. Zostawiłem go na środku uliczki w równomiernie powiększającej się kałuży krwi. Obserwowałem jeszcze przez chwilę jak uchodzi z niego życie. Z jego ust wydobywał się bulgoczący dźwięk człowieka dławiącego się własną krwią.



Znowu obudziłem się z krzykiem. Nie mogłem sobie przypomnieć, który to już raz budzę się zlany potem, nie mogąc przypomnieć sobie treści koszmaru, który budził mnie już od tak dawna. Za każdym razem po przebudzeniu czułem dziwny metaliczny posmak w ustach. Tak było i tym razem. Nigdy nie pamiętałem żadnych obrazów, tylko to dziwne uczucie. Połączenie euforii, siły i mocy. Uczucie podobne do tego, które się czuje, kiedy jest się już o krok od spełnienia życiowego marzenia. Jak małe dziecko dostające swój wymarzony urodzinowy prezent do swych drżących rąk. Spotęgowane prawie nieskończonym oczekiwaniem. Czułem także obecność jakiejś siły, nad którą pragnąłem zapanować.

Podniosłem się z łóżka i poszedłem do kuchni. Wyjąłem z lodówki butelkę pepsi i ugasiłem pragnienie. Poszedłem do łazienki i wziąłem prysznic. Stałem koło umywalki i przyjrzałem się sobie w lustrze, spojrzałem w swoje podkrążone oczy. Muszę obciąć te kręcone kudły, zaczynają mnie wkurzać. Wróciłem do pokoju i założyłem moje ulubione niebieskie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. Jak zwykle nie zjadłem śniadania i wyszedłem z domu. Kiedy zamykałem drzwi, zadzwoniła komórka. To był Krzychu, chciał się umówić na browar.

– Nie ma sprawy. – odpowiedziałem – O której?

– Dobra, a Rasti? – spytałem.

– Jasne. No to do zobaczyska. – rozłączyłem się i schowałem telefon do kieszeni.

Nasza nierozłączna paczka Krzychu, Ja i Rasti. „Rasti” – tą ksywką został ochrzczoney, kiedy próbował sobie w domu zrobić dredy, nigdy nie powiedział nam, w jaki sposób, ale rezultatem tego eksperymentu było ogolenie głowy na łyso. Od tamtej pory włosy rosły mu jakoś dziwnie krzywo. Wyglądał w nich jakby dopiero, co wstał z łóżka i to z sianem na głowie.

VI

Szedłem brukowaną uliczką wśród rozsypujących się ruder w kierunku baru o nazwie „Krypta”. Spojrzałem na księżyc, który właśnie pojawił się na niebieskim niebie gdzieniegdzie przysłoniętym chmurami. Było dosyć widno i niezbyt chłodno, ponieważ ciepłe powietrze nie zdążyło jeszcze wystygnąć po całodniowym upale. Już z daleka ujrzałem Krzyśka i Rastiego palących przed wejściem do „Krypty”. Krzychu ubrany był jak zwykle w swój czarny płaszcz ze skóry i czarne spodnie, z tymi kruczo czarnymi, prostymi włosami wyglądał jak jakiś wampir. A Rasti jak zwykle ubrany w bluzę Theriona. Nie wiem, ile on ich ma, ale mógłbym przysiąc, że takiej jeszcze nie widziałem. Kiedy podszedłem, pierwszy odezwał się Krzychu.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym, który film o wampirach jest najlepszy.
- Oczywiście „Wywiad z wampirem” – odparłem bez zastanowienia.
- Też tak myślę – powiedział Krzychu.
- Nie przekonacie mnie, dla mnie „Drakula” Coppolli zawsze będzie The Best. Gary Oldman w roli księcia ciemności. – powiedział Rasti – to jest to, co tygryski lubią najbardziej.
- Mnie „Drakula” wydaje się strasznie banalny. A „Wywiad z wampirem” ma niesamowity klimat. Moment, kiedy Bratt Pit pierwszy raz spogląda na świat oczami wampira. Nie mów, że to ci się nie podobało, bo nie uwierzę? – Spytałem – A tak w ogóle, po co stoicie na zewnątrz przecież w środku wolno palić? A propos palenia macie jakieś szlugi? Jeszcze dzisiaj nie paliłem.

Krzychu podsunął mi paczkę

- Myślałem, że rzuciłeś – powiedział Rasti.
- To było wczoraj – odparłem, zapaliłem papierosa i otworzyłem drzwi.

Kiedy weszliśmy, od razu powitała nas znajoma atmosfera. W przedsionku na wprost drzwi, wisiał na ścianie szkielet, z palcem wskazującym prawej ręki skierowanym w naszą stronę. Nad jego głową wisiał napis „Wchodzisz na własną odpowiedzialność, za wszelkie urazy ciała i umysłu właściciel nie odpowiada”. Zeszliśmy schodami do piwnicy, gdzie znajdowało się główne pomieszczenie. Na dole panował półmrok. W powietrzu unosił się zapach dymu papierosowego, a całość wyglądała jak katakumby. Łuki sklepienia z ciemno czerwonej cegły i prawie czarna boazeria z nieheblowanych koślawych desek, tworzyły średniowieczną atmosferę. Na ścianach znajdowały się nekrologi stałych bywalców krypty. Daleko w głębi znajdowała się średniowieczna machina tortur, ale nikt nie wiedział, do czego mogła służyć. Siedliśmy przy naszym stoliku, a Rasti poszedł po pierwszą kolejkę zimnego piwa z beczki.

Rozmawialiśmy długo na różne tematy. Głównie o wampirach, śmierci, trupach, zombich, demonach i tym podobnych rzeczach, czyli normalna, nocna rozmowa w barze przy zimnym piwku. Przez cały wieczór miałem dziwne przeczucie, że zdarzy się coś strasznego i nie powinienem tu przychodzić. Nie chciałem jednak zostawać sam na sam ze swoimi myślami.

Kiedy wychodziliśmy, było grubo po północy. Mogliśmy jeszcze zostać, ponieważ „Kryptę” zwykle zamykano dopiero przed wschodem słońca, ale Krzychu i Rasti namówili mnie żebyśmy połazili po starym mieście wśród rozsypujących się kamienic.

Rasti i Krzychu szli przodem. Wpadli na pomysł, że nastraszą pierwszą napotkaną osobę. Sprzeczała się właśnie, w jaki sposób to zrobią. Szedłem za nimi z tyłu, zamyślony dopijając piwo, które wziąłem ze sobą z baru. Zatrzymaliśmy się w cieniu, u wyjścia z małego zaułka, właśnie wypilem ostatniego łyka i wyrzuciłem butelkę, której kawałki rozprysły się na ziemi. Miałem dziwne uczucie déjà vu. Ulicą z prawej strony szedł tajemniczy osobnik ściśle otulony czarnym płaszczem, z kapturem naciągniętym głęboko na głowę. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, coś mi się w nim nie podobało. Nie wiem co, ale coś było w nim nie tak. Chociaż dotykał butami ulicy, wyglądało jakby unosił się nad ziemią. Był jakoś dziwnie sztuczny, nierealny, jak senny koszar. Próbowałem ich przekonać, że powinniśmy dać sobie spokój, niestety bezskutecznie. Wyszliśmy z cienia, Krzychu nie wiadomo skąd, wyciągnął kij baseballowy. Kiedy podeszliśmy do postaci w czerni, która nie wiedzieć czemu wydawała mi się dziwnie znajoma, nagle gwałtownym ruchem odwróciła się i stanęła w rozkroku. Nie zdążyliśmy nic zrobić, on zaatakował pierwszy.

Kiedy zobaczyłem z jaką łatwością podniósł z ziemi Rastiego, trzymając go za szyję, jakiś impuls kazał mi się odwrócić i zacząć uciekać. Biegłem. Bałem się spojrzeć za siebie. Tych kilka chwil szaleńczego biegu wydawały mi się wiecznością. Włosy kleiły mi się do spoconej twarzy, nie mogłem złapać oddechu. Przez głowę przelatywało mi tysiące myśli na minutę. Kiedy już myślałem, że uda mi się uciec, coś złapało mnie za ramię. Pęd sprawił, że okręciłem się na jednej nodze i upadłem na brukowaną uliczkę. Postać w czerni stała przez chwilę przede mną, za plecami mając księżyc i wtedy wreszcie zauważyłem, co było w nim takiego dziwnego. Tajemniczy osobnik, cel niewinnego żartu nie rzucał cienia. Dlatego wydawało się, jakby unosił się nad ziemią.

Pochylił się nade mną. Sparaliżowany strachem mogłem tylko patrzeć. I wtedy zobaczyłem jego bladą twarz, z upiornym uśmiechem, z którego wystawały kły i jego oczy, w których nie było litości. Bezduszne krwawo czerwone oczy, w których czaiła się śmierć. Jego włosy wystające spod kaptura, były siwe, prawie białe. W jednym błysku, w krótkim olśnieniu przypomniałem sobie sen, który śniłem od tak dawna. Sen, którego nigdy nie mogłem sobie przypomnieć po przebudzeniu. W tym śnie byłem nim. Znałem jego myśli, to były moje myśli, kiedy byłem nim. Wiedziałem, co zaraz nastąpi, to było nieuniknione, koszmar stał się jawą, z której nie było ucieczki. Gdy rozszarpał moją szyję, a życie opuszczało moje ciało wraz krwią, wiedziałem, że to już...

Koniec